

Sergiusz Bułgakow

Moja choroba - notatki o umieraniu. Moja choroba (Styczeń 1926)

Elpis 12/21-22, 331-363

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MOJA CHOROBA – NOTATKI O UMIERANIU.
MOJA CHOROBA (STYCZEŃ 1926)¹

Słowa kluczowe:

Nigdy w życiu nie przeszedłem poważnej choroby. Często, zwłaszcza w ostatnich czasach, doświadczałem niepokoju, że wszyscy wokół chorują, a ja zawsze jestem zdrowy, zwłaszcza, gdy zwracano mi na to uwagę. Było to trudne zwłaszcza dlatego, że spoczywały na mnie liczne grzechy. Czułem gniew Boży i Jego zbawiającą miłość, mimo woli na coś czekałem, wiedziałem, że Bóg nie może być wyszydzany. Żyłem czując nad sobą rękę Bożą.

Zachorowałem w dniu św. Serafina z Sarowa², przez pierwsze dwa dni chodziłem i czułem się w miarę dobrze. Natomiast trzeciego dnia podniosła się temperatura i zrozumiałem, że zaczyna się ciężka choroba. Temperatura rosła z dnia na dzień. Cierpienia były ogromne, zwłaszcza dlatego, że nie spałem po nocach, ale moja świadomość, jak mi się przynajmniej zdawało, ani na chwilę nie była zaciemniona. Czas stanął. Nie wiem, czy moje cierpienia trwały miesiąc, czy też rok. W każdym bądź razie, tego, co się wtedy wydarzyło, nie można mierzyć czasem, tym bardziej tak krótkim. Żyłem tak intensywnie, w napięciu wszystkich sił mojej grzesznej i kajającej się duszy, że mi-

1 Tytuł oryginału: S. Bułgakow, *Моя болезнь*, [в:] *Автобиографические заметки (Посмертное издание)*, wyd. L. A. Zander, Paris 1946, s. 136-147.

2 Wspomnienie liturgiczne św. Serafina z Sarowa ma miejsce 2/15 stycznia (uwaga tłumacza).

nuty mieściły w sobie wyjścia ku wieczności, był Bóg i ja przed Nim ze swoimi grzechami. Straciłem poczucie ograniczoności miejsca w przestrzeni i czasie, pozostała tylko czasowość i przestrzenność. Zupełnie traciłem świadomość tego, że moje ciało, moje zmysły spoczywają w łóżku, gdyż moje ciało rozpływało się w inne pokoje i w ogóle w przestrzeń, z trudem znajdowałem małą część siebie samego w swojej bezpośredniej dyspozycji. Również rozpływała się jedność mojego „ja”, czułem się jak nieme „my”, wielość, w którą z trudem wchodziło jak jakiś smutny moment, moje własne „ja”. Czas istniał dla mnie jedynie w tych momentach, kiedy coś ze mną robiono, zwłaszcza operację pęcherza, kiedy zatrzymał się mocz, co było bardzo męczące.

Jednym słowem, moje „ja” rozpływało się w gorączce, stawało się płynne. Natomiast moje duchowe „ja” osiągało coraz większą jasność i świadomość. Było ono strasznym sędzią mojego życia. Byłem pełen strachu i lęku. Było to jakby chodzenie po *teloniach*³, w których otwierały się palące rany mojej duszy. Pan zmiłował się nade mną i nie dopuścił do wizji demonów. Jednak temperatura ciała wraz z mękami duszy stwarzała ognisty piec. Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego Kościół tak bardzo polubił obraz pieca ognistego i płonęcia w piecu, oraz co mówił o tym obrazie. Płonąłem w tym piecu, ale jakby ratując się z ognia. W tym ognistym piecu pojawiała się jakaś ochłoda. Anioł Stróż, który zstąpił do pieca z trzema młodzieńcami, zbliżał się także do mnie, ochładzał płonące ciało i ratował. Nie można tego wyrazić słowami, ale teraz wiem, że można płonąć w piecu ognistym i nie spłonąć.

W pierwszym okresie moja choroba – długo, czy też krótko, nie wiem – była takim piecem ognistym...

.....

3 Telonie (gr. *telonion* – cło, scs. *mytarstwa*), w teologii prawosławnej ujawnienie grzechów po śmierci człowieka i pokutowanie za nie po oddzieleniu duszy od ciała, przed sądem Bożym (uwaga tłumacza).

Nagle – po tym płonieniu – ochłoda i pocieszenie przeniknęły do ognistego pieca mojego serca. Jak wypowiedzieć ten cud miłosierdzia Bożego, cud przebaczenia? Odczułem go całą moją istotą, jego niezmierną radość i lekkość. Anioł Stróż, który ciągle był przy mnie, włożył mi to do serca. Nagle poczułem, że nic nie oddziela mnie od Boga, że jestem odkupiony przez Boga... Nawet w czasie spowiedzi czułem, że rozgrzeszenie miało już miejsce. Było uczucie: moje grzechy spłonęły, nie ma ich.

Jednak tajemnica przebaczenia została mi objawiona w połączeniu z tajemnicą śmierci, gdyż równocześnie poczułem, że moje życie kończy się i umieram. Gdzież jednak jest lęk przed śmiercią? Nie ma go, jest jedynie radość śmierci, radość w Bogu. Niebiańska, niewyrażalna w ludzkim języku radość napełniła całą moją istotę.

Było tak. W sobotę 10-go⁴ (przełom miał miejsce w sobotę 10-go – w niedzielę 11-go Kościół modlił się o moje wyzwolenie) poczułem, że w końcu choroba mnie pokonała, przeraziłem się myśli o śmierci. Przerazenie to było przede wszystkim związane z troską o rodzinę, o jej życie po mojej śmierci i beze mnie. Moje serce przepełniły małoduszność i mała wiara. Równocześnie posłano mi pomoc, jedno przyjazne słowo, że wszystko jest w woli Bożej i nie trzeba się o nich martwić. Z radością poczułem, że Bóg, który mnie kocha i zbawia, zbawi też i zmiłuje się nad nimi, że powinienem oddać ich Bogu. Kiedy dokonało się to w moim sercu, poczułem nieznaną dotąd radość, pokój i wolność „teraz pozwalasz odejść”⁵. W tej chwili poczułem, że moja rodzina, przez cały czas związana ze mną miłością i troską, wraz z ukochanymi przeze mnie oddaliła się ode mnie, gdzieś odeszła, a ja umarłem i znalazłem się poza granicą tego świata. We mnie wszystko jaśniało jakąś szczególną radością. Pojawiła się świadomość, że żywi i bliscy są jednakowo wszyscy, żywi i umarli, wszystkich duchowo poczułem ze sobą, a równocześnie miałem świadomość, że cierpienia fizyczne nie pozwalają mi na kontakt z tymi, którzy są przy moim

4 Czyli 23 stycznia (uwaga tłumacza).

5 Por. Łk 2,29 (uwaga tłumacza).

łozu. Po kolei wzywałem do siebie i w duchu całowałem dawno zmarłych, jak i żywych, czułem się wolnym, wszystkie miejsca były dla mnie: byłem w ulubionym Krymie, w lato śmierci syna w 1909 roku⁶, z jego słonecznymi promieniami. Nie byłem jednak związany i tym miejscem. Nad wszystkim panowała obecność Boga. Na zawsze poznałem, że jest tylko Bóg i Jego miłosierdzie, że trzeba żyć tylko dla Boga, szukać tylko królestwa Bożego, a wszystko, co je zasłania, jest oszustwem. Uznawałem i czułem bliskość Przczystej Matki Bożej, ale nie miałem siły, aby dalej wstępować. Następnie ruszyłem, dosłownie jakby jakiś wewnętrzny rozkaz nakazał mi iść naprzód, z tego świata sądu – do Boga. Poruszałem się szybko i z wolnością, pozbawiony wszelkiego ciężaru. Wiedziałem jakimś wewnętrznym wyczuciem, że minąłem już nasz czas i obecne pokolenie, przeszedłem następne pokolenia, a za nimi już zaczynał jaśnieć koniec. Zapłonęły niewypowiedziane światłości zbliżania się i obecności Bożej, światłość stawała się coraz jaśniejsza, radość nie do opisania: „człowiek nie ma co do powiedzenia”. W tym czasie jakiś wewnętrzny głos towarzysza – byłem sam, ale wraz z jakimś „my”, to był Anioł Stróż – powiedział mi, że poszliśmy za daleko do przodu i trzeba powrócić do życia. Zrozumiałem i usłyszałem wewnętrznym słuchem, że Bóg przywraca mnie do życia, że wyzdrowieję. Nie mogę już teraz zrozumieć, jak to było, ale jedno i to samo wezwanie oraz nakaz, które wyzwoliły mnie z życia tego świata równocześnie i tym samym słowem określiły mój powrót do życia. Wewnętrznie wiedziałem, że wyzdrowieję. Jeszcze nie czułem się lepiej, jednak byłem zupełnie spokojny, gdyż usłyszałem Boże polecenie. Wróciłem ze śmierci do życia, cała moja grzeszna istota została odrodzona w piecu ognistym. Czuję się wyzwolony z ciężaru grzechu i staram się nawet nie pamiętać o nim. Czuję się jak nowonarodzony, gdyż w moim życiu dokonał się przełom, przeszła przez nie wyzwalająca ręka śmierci. Nie mogę zrozumieć i nie chcę grzesznie domyślać się, co Bóg zechciał ze mną zrobić, ale świadczę

6 Mowa o synu Iwanie (1905–1909), uważanym za niezwykle dziecko, które zmarło w wieku 3 lat i 7 miesięcy (uwaga tłumacza).

swoim słabym językiem o dziełach i cudach Bożych. Boże, czyn wole Twoją! Każdy dzień mego życia, każda ukochana twarz człowieka jest spotykana z nową radością. Oby tylko Bóg pozwolił mnie i im żyć światłością, objawioną przez Boga. Któż jest Bogiem tak wielkim, jak Bóg nasz, Ty jesteś Bogiem czyniącym cuda⁷.

W marcu 1939 roku zdiagnozowano moją chorobę – rak gardła – wymagającą szybkiej, a przy tym podwójnej operacji, której najbardziej prawdopodobnym wynikiem była śmierć, a w najlepszym wypadku utrata głosu na zawsze. Źle rozumiałem medyczną stronę całej sprawy. Mogę jednak powiedzieć, że to, jak spotkałem i przeżyłem tę informację, było autentycznym cudem. Nie odczuwałem ani lęku, ani smutku, było to radosne pobudzenie w odpowiedzi na wezwanie Boże. Ze strachu (wiedziałem już, że operacja będzie bez ogólnej narkozy, a tym samym czekają mnie ciężkie cierpienia), uratowała mnie w pewnym sensie właściwa mi ciekawość w stosunku do niebezpieczeństwa. To Puszkiniowskie:

Jest w boju radość
I otchłani mrocznej skraj.
Wszystko, co nam zgubą grozi,
Dla śmiertelnego kryje serca
Radość Niewypowiedzianą.

Podczas pierwszej operacji oglądałem ją w lustrze, które było nade mną na suficie i odbijało wszystkie szczegóły rozcięcia gardła (tracheotomia), co było nawet interesujące, chociaż męczące. Podczas drugiej operacji podjęto odpowiednie środki przeciwko tej obserwacji, a i świadomość była przytępiona przez narkotyki. Tym nie mniej słyszałem uwagi i opinie oraz w miarę możliwości obserwo-

⁷ Por. Ps 76,14 (uwaga tłumacza).

wałem w pełnej świadomości, co się dzieje, odczuwając jednak cały ból, ale nie strach. Ze smutku i strachu uwalniała mnie moc Boża, o czym wspominam z radosnym uczuciem głębokiego rozrzewnienia. Tak, był to stan jakiegoś zachwytu, który mogłem przekazywać innym. W ostatnią sobotę i niedzielę przed operacją spowiadałem i udzielałem komunii moim przyjaciółom, żegnając się z nimi, ale – jak przypuszczam – nie byli oni smutni, podobnie jak i ja. Był jedynie zachwyty miłości. Uważałem i uważam się za tchórzliwego oraz traktuję tę radość jako cud Boży, działanie Ducha Świętego. Oczywiście, było mi ciężko i straszno z powodu bliskich, rodziny, ale i to w cudowny sposób umierało. W takim stanie przybyłem do kliniki w przeddzień operacji⁸, odważny i spokojny. Obie operacje nastąpiły jedna po drugiej w odstępie dwóch tygodni – druga w Wielki Wtorek, czyli w Tygodniu Męki Pańskiej. Mowę straciłem już po pierwszej operacji i niezauważalnie „przeszedłem na ołówek”. Było to oczywiście samo z siebie i nawet nie było uciążliwe. Cierpienia zaczęły się w dniach Tygodnia Męki, kiedy wycięto mi gardło, a przede wszystkim strasznie utrudnione było oddychanie wraz z duszącymi, złymi, wstrętnymi przewiązkami, które przekształcały mnie w jakiś nieruchomy zwitek, pozbawiając ruchu i snu. Jest oczywiste, że zostałem pozbawiony pokarmów, gdyż nie mogłem otwierać ust i przełykać, a tym bardziej przez rozcięte gardło. Wstawiono mi w nos wstrętną

8 Oto notatka, którą (nieoczekiwanie dla siebie samego, gdyż od dawna przestałem cokolwiek zapisywać) poczyniłem na krótko przed operacją: „6. III. 1939. Bądź wola Twoja. Dzisiaj w moją twarz zajrzała śmierć – od guza nowotworowego strun głosowych, więc albo operacja, również zagrażająca śmiercią, albo nieunikniona utrata głosu. Pokornie i z uległością, a nawet ze spokojem przyjmuję wolę Bożą. Nie mam śmiałości, aby powiedzieć: ‘Tak ziści się moje pragnienie spotkania z Chrystusem’, ale też radośnie spotykam życie poza grobem. Jedynie rozłąka z ukochanymi i ich los skłaniają moje serce ku z troskaniu, ale wierzę Panu, władającemu życiem i śmiercią, że On ich nie pozostawi. Staram się zastanowić, jak i z kim trzeba się pogodzić, kogo pocieszyć i utulić, co zrobić... Staram się pamiętać o wszystkich i o nikim nie zapomnieć. Niech Pan pošle swojego świetlistego anioła. Kiedyś umierałem duchowo w dniach swoich święceń, a teraz, umierając cieleśnie, chciałbym z wszystkimi pojednać się i wszystkich umiłować... Chwała Bogu za wszystko!”

rukę, przez którą wlewano jakąś ciecz. „Pragnę. I skosztował octu” (J 19,24). Jednak nie to było najbardziej męczące – nie ból, a duszności, brak powietrza, połączone ze śmiertelną, niezdolną słabością. Kilka razy – przeważnie w nocy – było uczucie zabójczej duszności, kiedy to obiektywnie znajdowałem się na granicy śmierci. Przez cały czas mojej choroby nie przeżyłem niczego, co byłoby równe temu odczuciu ze względu na cierpienia. Niekiedy były to dość krótkie, ale gwałtowne cierpienia, niekiedy długie, którym towarzyszył stan zamkniętej świadomości, na poły bredzenia, a zresztą nie wychodziłem ze stanu ponizającej zależności od aparatu uwalniającego (najczęściej nie uwalniającego) oddychanie od śliny. Było to umieranie – z przerwami, ale bez światła. Byłem pogrążony w jakąś ciemność, z utratą świadomości przestrzeni i czasu, a jedynie niewyraźnie pamiętałem o tym, że mijają dni Tygodnia Męki – zbliża się Wielki Piątek ze Zwiastowaniem. Chronologicznie miałem świadomość nadejścia Paschy, przyjmowałem pozdrowienia paschalne, ale ciemności Golgoty nie rozpraszały się i były nieznośne, brakowało paschalnej radości dla umierającego, któremu nie dano jednak zakosztować śmierci. Tak, nie było zbliżenia się śmierci, było jedynie umieranie. W minionych dniach dano mi unikać śmierci z jej radością i wyzwoleniem, teraz ciążyły jej okowy i mrok. Cóż stało się z tą radością i coż pozostało z tego zachwyty, który dano mi przeżyć przed operacją? Jak gdyby nic nie pozostało, a nawet gorzej, jedynie cień śmierci w głębokim rowie. Pogasło światło życia, nastąpił czas bez odczuwania łaski, to, o czym powiedziano: „Czemuś mnie opuścił”⁹. Pozostawała, co prawda, tępa świadomość, że pozostaję w woli Wszechmogącego i właśnie ta wola przeznaczyła mnie na cierpienia lub też dopuściła je jako nieuniknione. Na ile mogę sobie przypomnieć, nie myślałem o śmierci, wydaje się, ani przez chwilę. Nie było czekania na śmierć, lęku przed nią – świadomość była zbyt słabsza i tępa. Zbyt daleki byłem od światłości śmierci w swoim umieraniu, zbyt byłem pogrążony w swoim duszeniu się, moja dusza była zbyt spustoszona przez

9 Por. Mt 27,46 (uwaga tłumacza).

cierpienia cielesne. Nie było już modlitwy jako drogi wstępowania do Boga, jak i nie było wstępowania u „opuszczonego”. Była pozbawiona radości noc bez zorzy, bez poranku. Pozostawało uczucie cierpień fizycznych, ale i ono bladło wobec ogólnego poczucia utraty sił ducha, opuszczenia... być może, właśnie to było najstraszniejsze...

Czy we mnie pozostawało jeszcze coś ludzkiego i co mianowicie pozostawało? Tak, pozostawało, i to był jakiś ostatni cud w mojej cierpiącej duszy – pozostawała miłość. Kochałem moich braci, wszystkich kochałem. Przebiegałem kochającą myślą ludzi znanych w przeszłości, kochanych i niekochanych, zarówno tych, których łatwo i radośnie było kochać, jak i tych, których trudno było kochać. Jednak ja wyłącznie kochałem, wszystkich, kogo tylko wspomniałem. Nie wiem, czy była to miłość w Bogu. Wydaje się, że tak, prawdopodobnie tak – jakże inaczej mógłbym kochać? Oczywiście, spośród osób znajdujących się przy moim łóżku jedni więcej, a inni mniej mnie radowali, jedni cieszyli, inni męczyli, ale nikt nie mógł narużyć harmonii miłości, która przedzierała się przez dysonanse mojego śmiertelnego dnia.

Gdzie jednak była moja myśl, która nigdy we mnie nie gasła? Gdzie „problematyka”, która zawsze mnie niepokoiła? Gdzie kompleks idei, będący natchnieniem i radością, z którym przekroczyłem nawet próg tego szpitala? Wszystko to jak gdyby wygasło, przestało istnieć. Stałem się pusty, nawet myśl była dla mnie nieznośna. Moje istnienie podupadło, uprościło się do bytu cielesnego, który z kolei stał się jedynie możliwością cierpienia. Czy odczuwałem bliskość Boga? Tak, odczuwałem, gdyż nic nie oddzielało mnie od Boga, poza cierpieniami cielesnymi, przez co wszystko inne gdzieś odeszło. Ta bliskość Boga, stanie przed Nim twarzą w twarz, było pełne napięcia. W swojej chorobie ani wcześniej, ani po niej nigdy nie sprzeciwiałem się woli Bożej, nie szemrałem, nie prosiłem Go o zmiłowanie i wyzwolenie z cierpień, przyjmowałem je jako niezmienną i niewątpliwą decyzję Bożą. W tym sensie była to bliskość straszna i święta, jak w wypadku Hioba. Jednak... nie była radosna, gdyż... była na wskroś

przeniknięta jednym uczuciem: czemuś mnie opuścił? Jednakże, wraz z tym było jeszcze coś, czego dotychczas nie wiedziałem i co objawiło mi się jako autentyczne wydarzenie duchowe, które na zawsze pozostanie objawieniem – nie o śmierci, ale o umieraniu – z Bogiem i w Bogu. To było moje umieranie – z Chrystusem i w Chrystusie. Umierałem w Chrystusie i Chrystus ze mną oraz we mnie umierał. Takie było straszne i wstrząsające objawienie, którego wtedy nie mógłbym wyrazić w słowach i pojęciach, a co uświadomiłem sobie znacznie później. Jedną tylko nie poddającą się wyliczeniu czasowemu chwilą minęła między „czemuś mnie opuścił” i „oddał ducha”, między umieraniem Chrystusa w Jego opuszczeniu przez Boga i śmiercią. Jednak ta chwila zawiera w sobie niezmierną długość i pełnię umierania dla każdego człowieka, ponieważ on przez nią i w niej umiera. Inaczej, jak w opuszczeniu człowieka przez Boga, nie można umrzeć, jak nie mógł umrzeć wszech-człowiek, Nowy Adam, w Bogoczłowieku. Znałem Chrystusa w swoim umieraniu, odczuwałem Jego bliskość do mnie, prawie cielesną, ale... jako leżącego ze mną, „związanego, poranionego i martwego”. On mógł pomóc mi w moim cierpieniu i umieraniu tylko współcierpiąc i umierając ze mną. Widziałem ten obraz wewnętrznym okiem, czułem Go tak, jak Go czuł Holbein, a po nim Dostojewski w swoim strasznym obrazie śmierci Chrystusa, w którym przekazano jednak nie śmierć, a umieranie, nie moc pośmiertnego przemienienia, zmierzającego do zmartwychwstania i na drodze ku niemu, a zastygłą śmierć, która zatrzymała się na umieraniu. Właśnie to odpowiadało śmiertelnym dniom Tygodnia Męki, które wnikały i przenikały moją istotę. Wcześniej, w dniach zdrowia, sprzeciwiałem się obrazowi Holbeina¹⁰, który przedstawia trupa, jako niewiernemu i bluźnierczemu przedstawieniu. Teraz ożył on dla mnie właśnie w tym obrazie śmierci jako umierania, objawienia o śmierci w ludzkim umieraniu w Bogoczłowieku.

10 Mowa o obrazie Hansa Holbeina młodszego (1497–1543) „Martwy Chrystus” z 1521 roku (uwaga tłumacza).

Jest jeszcze jeden, także rozdzierający duszę obraz cierpień Chrystusa – Chrystus Grünewalda¹¹. Jednak było to coś innego i dlatego nie było wspomiane: ukrzyżowanie Grünewalda to jedynie moment w dialektyce śmierci, nierozzerwalnie związane ze zmartwychwstaniem w chwale, co ukazuje także szereg innych przedstawień w polityku. Grünewald daje straszny obraz śmierci w jej trupiości po już dokonanym i tym samym pozbawionym siły umieraniu. Jednak u Holbeina, chociaż w postaci trupa, dano poczuć nie dokonane, a jeszcze dokonujące się umieranie, samą jego moc. Tak to odczuwałem, nie myślą, ale wewnętrzną wiedzą – wtedy, gdy sam leżałem wraz z Nim, nie martwy, a jedynie umierający, jeszcze nie trup, ale w trupiości nie żywy, chociaż i nie martwy. Do tego Chrystusa nie mogłem – lub wtedy jeszcze nie umiałem – modlić się, a jedynie mogłem Go kochać i z Nim współcierpieć, skoro i On współcierpiał ze mną. Przez moje ludzkie umieranie dla mnie ujawniło się Jego ludzkie umieranie w Bogoczłowieku. Boskość jakby wygasła w opuszczeniu przez Boga, a człowieczeństwo umierało. Umieranie, dokonujące się w śmierci Bogoczłowieka, mogło jedynie dokonać się na ludzki sposób, to znaczy w opuszczeniu człowieka przez Boga. Utożsamiło się ono z każdym ludzkim umieraniem i w tym sensie było uniwersalne, włączając w siebie wszystkie jego obrazy, wszystkie śmiertelne choroby, było ich syntezą. Ogólną treścią wszystkich tych rozlicznych umierań była śmierć. Bogoczłowiek w swoim opuszczeniu przez Boga uczynił siebie dostępnym dla umierania. Śmierć przystąpiła do Niego w Jego człowieczeństwie. I to umieranie było męką wszystkich ludzkich mąk. W swoim człowieczeństwie ono było naturalne, to znaczy było złagodzone przez połączenie z mocą Boską. Dokonało się w strasznej *kenozie* jakby rozdzielenie natur, które nie mogło być takim, oczywiście, w sensie ontologicznym na mocy nierozdzielności obu natur w Chrystusie, ale przy braku aktywności jednej natury, druga pozostawała w całej swojej własnej mocy. W tym samo-uni-

11 Mowa o obrazie Matthiasa Grünewalda (właśc. Mathis Nithart, ok. 1460–1528) „Ukrzyżowanie” z 1505 roku (uwaga tłumacza).

zeniu się Bogoczłowieka zawiera się zbawcza moc Jego śmierci, jej ludzki wymiar jest drogą jej Bogoczłowieczeństwa. Chrystus umierał naszą, ludzką śmiercią, aby przyjąć przez nią śmierć Bogoczłowieka. Dlatego też i nasze umieranie jako współ-umieranie z Nim, jest objawieniem o śmierci Chrystusa, chociaż jeszcze nie o Jego chwale. Tutaj poznałem, co znaczą słowa Apostoła: „Nosimy nieustannie w ciele naszym konanie Jezusa, aby życie Jezusa objawiło się w naszym ciele. Ciągłe bowiem jesteśmy wydawani na śmierć z powodu Jezusa, aby życie Jezusa stało się widoczne w naszym śmiertelnym ciele. Tak więc działa w nas śmierć, podczas gdy w was – życie” (2 Kor 4,10-12). I jeszcze: „Wiemy przecież, że całe stworzenie aż dotąd jęczy i wzdycha w bólach rodzenia. Lecz nie tylko ono, ale i my sami, którzy już posiadamy pierwsze dary Ducha, i my również całą istotą swoją wzdychamy, oczekując przybrania za synów – odkupienia naszego ciała” (Rz 8,22-23).

W umieraniu nie umarłem i nie poznałem światłości śmierci (jak mi to dano wcześniej), ale pozostawałem w umieraniu przez pewien długi czas, jeśli nie na zawsze. Kiedy lekarz po jednym z kolejnych badań nieoczekiwanie powiedział: „Vous êtes guéris”¹² i zaproponował mi powrót do domu, nie odczuwałem żadnego wyzdrowienia, jedynie przewiązki stały się lżejsze. Męcząca bezsiła, brak poczucia życia, jak w umieraniu, towarzyszyły mi tym bardziej, że teraz niekiedy trzeba było się poruszać, po prostu żyć. Zacząłem wyszukiwać sobie jakieś zajęcie, choćby czytanie książek, przy czym jak we mgle, na poły świadomie percypowałem znane tematy religijno-filozoficzne. Było to jeszcze do zniesienia i naturalne. Natomiast trwające umieranie było nie opuszczającym mnie poczuciem opuszczenia przez Boga. Moja dusza dręczyła się w mrocznym milczeniu, modlitwa była niema, życie było pozbawione radości i łaski. O, jednak i wtedy w całej mojej istocie nie było miejsca na szemranie. Przeciwnie, „bądź wola Twoja” i „chwała Bogu za wszystko”, zwycięsko dźwięczały we

12 „Pan jest wyleczony” (uwaga tłumacza).

mnie, i to tak zwycięsko, że nie dopuszczały sprawdzania lub wątpliwości. Jeśli można nazwać tę nieskruszoną radość jakąś łaską wiary, to dano mi to radosne zdecydowanie w znoszeniu cierpień. Nie towarzyszyła jednak temu radość spotkania z Bogiem w tej bliskości Bożej, którą jednak poznałem nawet w swoim umieraniu. Moje życie pozostawało bez radości. A przede wszystkim – utracilem radość z Kościoła – z modlitwy i świąt. Zbliżało się święto Pięćdziesiątnicy, uświadamiałem to sobie umysłem, ale nie sercem. Moje życie było otoczone mrokiem, przygniatał mnie krzyż niemowy. Musiałem porozumiewać się z rodziną, z żoną, z synem, z bliskimi przy pomocy notatek, co sprawiało szczególne cierpienie poniżenia i jakby wstydu. Jednak podstawowe cierpienie sprawiała świadomość, że nigdy nie będę mógł sprawować Liturgii. Nie można tego oddać słowami. Prawda, nawet ten fakt nie wywoływał mego szemrania, a jedynie pokorne: „Bóg dał, Bóg wziął, niech imię Pańskie będzie błogosławione”¹³, ale mrok pozostawał bez najmniejszej światłości. Szczególnie zgęstniał po tym, kiedy powiedziano mi z jakoby kompetentnego źródła, że nie mogę liczyć na przywrócenie mowy. Chociaż mówiono mi też przeciwne opinie, ale one nie dochodziły do mojej świadomości. Przedłużające się umieranie ciemnym cieniem legło na moim życiu kościelnym. Jeszcze nie byłem w stanie chodzić na nabożeństwa. Nie czułem nawet takiej potrzeby, gdyż nie mogłem przystępować do komunii. Zbliżały się święta Pięćdziesiątnicy i Ducha Świętego, 21 maja, rocznica moich święceń, i myślałem o tych dniach, zawsze dla mnie tak uroczystych i radosnych, z lekkiem, z tęsknotą, jak martwy... W tym uczuciu, wydawało się, skoncentrowało się moje cierpienie, umieranie bez śmierci...

Nagle zostało to z miłosierdzia Bożego przerwane. Ten cud dokonał się przez pośrednictwo wiernego, umiłowanego przyjaciela, który przyniósł mi od lekarza radosną wieść, że on daje słowo honoru, iż wróci mi głos. Oczywiście, teraz znam przesadę w tym słowie

¹³ Por. Hi 1,21 (uwaga tłumacza).

honoru. Wtedy jednak byłem tak wstrząśnięty i uradowany tą wiadomością, która jednak obiecywała mi przerwanie milczenia. Jak gdyby światłość niebiańska przedarła się przez mrok mojego istnienia. Bóg objawił swoje miłosierdzie. Radosnymi łzami płakałem, jak nigdy w życiu. „Niech imię Pańskie będzie błogosławione”. W wigilię święta Pięćdziesiątnicy byłem w cerkwi, a w dniu Ducha Świętego¹⁴ przyjąłem święte Tajemnice (po spowiedzi), u siebie, w domu. Rocznica moich święceń była dla mnie radosnym dniem, zdaje się jak nigdy przedtem. Moi przyjaciele zapełnili mieszkanie, przynieśli kwiaty, pozdrawiali mój powrót do życia. Umieranie skończyło się. Zaczęło się życie ze swoimi nowymi zadaniami i trudnościami. Umieranie nie znalazło rozwiązania w śmierci, ale pozostało objawieniem o śmiertelnej drodze, która czeka każdego człowieka w ślad za Chrystusową, czy tego chce, czy też nie chce. Śmiertelność jest zawarta w naszej naturze ludzkiej, którą Chrystus przyjął w śmiertelnej ludzkiej istocie. Każda choroba już jest poznaniem śmiertelności, objawieniem o niej, którego nikt nie może ominąć, a jej miarę określa moc choroby, zbliżenie się do śmierci. Obiektywnie byłem o włos od śmierci w pierwszej połowie choroby, natomiast subiektywnie byłem prawie całkowicie ogarnięty przez śmiertelność i dlatego ją poznałem. Poznałem ją jako umieranie Pana na krzyżu w Jego opuszczeniu przez Boga w śmierci, od „czemuś mnie opuścił” do „w ręce Twoje oddaję ducha mego”. Umieranie nie zawiera objawienia o samej śmierci, jest jedynie jej przedsmakiem i tym samym bezpowrotnie opuszczającym ten świat. Poza granicą śmierci następuje objawienie życia pozagrobowego jako zasady nowego bytu, o nim nie mówi nam doświadczenie człowieka po tej stronie życia. Umieranie samo z siebie nie zna objawienia o życiu pozagrobowym i o zmartwychwstaniu. Ono jest nocą dnia, samym grzechem pierworodnym. Można zapomnieć o śmierci, odwracać się od niej, i – oczywiście – nie należy napełniać życia wyłącznie przecuciem śmierci. Jednakże, przez zapomnienie o niej nie

14 Czyli w poniedziałek święta Pięćdziesiątnicy (uwaga tłumacza).

można odejść od śmierci – ona przychodzi wcześniej lub później do każdego człowieka, jest to jedynie kwestia czasu.

Przetłumaczył Henryk Paprocki

NOTATKI O UMIERANIU

Ks. Sergiusz Bułgakow, od 1925 roku profesor teologii dogmatycznej w Instytucie Teologicznym Świętego Sergiusza w Paryżu i rektor tegoż instytutu, o swoim umieraniu pisał kilkakrotnie. Rozważanie o śmierci i umieraniu towarzyszyło całemu życiu tego duchownego. Brzmiały w nich słowa z pouczeń św. Jana Klimaka: „Jak chleb potrzebniejszy od każdego innego pokarmu, tak i rozmyślanie o śmierci potrzebniejsze od wszelkich innych poczynañ”, czy też: „Mąż gorliwy ma wiele zadań: uczy się miłości do Boga w pamiętaniu o śmierci, w pamiętaniu o Bogu, o Królestwie Niebieskim...”¹⁵.

W *Awtobiograficznych zamiętkach*, zapiskach z Rosji z lat 1917–1922, ks. Bułgakow pisał: „Życie raz jeden jest dane człowiekowi i w tym sensie każde życie jest cenne i interesujące”¹⁶. Na następnej stronie, w rozdziale *Agonia* pisze o swoim pierwszym umieraniu, nie cielesnym, ale umieraniu w sensie utraty wszystkiego, co do tej pory było dla niego ważne, cenne i dające radość – utraty wszystkiego tego, co się kocha. „Jak utrata miłości” – z zimną i martwą pustką w sercu – takie umieranie, taką śmierć przyniosła Bułgakowowi rewolucja w Rosji¹⁷.

15 Św. Jan Klimak, *O pamiętaniu o śmierci*, fragmenty z *Drabiny do Nieba*, tłum. J. Szokalski.

16 S. Bułgakow, *Пять лет (1917–1922)*, [w:] idem, *Дневники*, Liwny 1998, s. 43.

17 S. Bułgakow, *Агония*, [w:] idem, *Дневники...*, op. cit., s. 44.

„Umieraniem dla tego świata” był dla ojca Sergiusza czas święceń kapłańskich i życie kapłańskie (*Moje rukopolożenije*)¹⁸.

W *Dzienniku duchowym* pod datą 10/23.IX.1924 ks. Bułgakow zanotował: „O miłości Boga, o miłości Matki Boga wszystko przewyższająca! Nie ma strachu przed śmiercią (...), jest radość, radość śmierci. W moim sercu rozbłysło, co znaczy słowo Boże *miłość mocna jak śmierć*”¹⁹. Co znaczy to zdanie świadczące, że miłość jest śmiercią (...), ale i śmierć jest miłością. I w tym odkryła się przede mną istota, sedno tych słów: tak, śmierć jest miłością, której już nie może pomieścić ziemskie serce, od której rozrywa się ono...”²⁰. Jakże inne było to umieranie od tamtego, z czasu rewolucji w Rosji!

W 1926 roku ojciec Sergiusz Bułgakow poważnie zachorował. Powstała wtedy *Moja choroba* z traktatem *Życie po śmierci*. Te zapiski zostały przetłumaczone i opatrzone komentarzem przez ks. Henryka Paprockiego²¹.

Jako ostatnie zdanie w zapiskach *Moja choroba*, zdrowy już Bułgakow cytuje fragment z Apokalipsy św. Jana (1,1-18): „Przestań się lękać! Jam jest Pierwszy i Ostatni, i żyjący. Byłem umarły, a oto jestem żyjący na wieki wieków. Amen”²².

W 1939 roku stwierdzono u Bułgakowa raka krtani. – „Bądź wola Twoja” – napisał w dniu, w którym lekarze postawili rozpoznanie. Wiedziałem, że o. Sergiusz prowadził zapiski także w czasie tej choroby, ale nie znałem ich.

W czasie mojego pobytu w Paryżu, na stażu w Klinice Nowotworów Głowy i Szyi w Institute Goustave Roussy – znanej Klinice Onkologicznej – odwiedziłem Instytut Teologiczny św. Sergiusza przy rue de Crimée 93. Spotkałem tam Nikołaja Osorgina, osobę, która znała o. Sergiusza, a dzięki życzliwości rektora instytutu, ojca Iowa

18 S. Bułgakow, *Мое рукоположение*, [w:] idem, *Дневники...*, op. cit., s. 66-74.

19 Pnp 8,6.

20 S. Bułgakow, *Дневник духовный*, [w:] idem, *Дневники...*, op. cit., s. 194.

21 S. Bułgakow, *Choroba – śmierć – życie*, przeł. H. Paprocki, „Novum” 1979, nr 20, z. 11, s. 148-177.

22 Cyt. za: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Poznań – Warszawa 1980.

(Getcha), mogłem sięgnąć do rękopisów i maszynopisów pozostawionych przez Bułgakowa. Powodzenia w poszukiwaniach życzył o. Borys Bobrinskoj, gdy dowiedział się, że jako lekarz zajmujący się w Polsce chorymi z nowotworami głowy i szyi, chcę zapoznać się z notatkami chorującego na raka krtani Sergiusza Bułgakowa. Poniżej prezentuję odnalezione zapiski o. Sergiusza. Nie były one publikowane w żadnych znanych mi materiałach, ani też tłumaczone na język polski.

Publikowane zapiski różnią się od tych, które poznałem wcześniej²³. Bardzo wyraźnie widać w nich przemiany, jakim podlegał autor, i walkę, którą toczył. Są fragmenty, kiedy sam silny duchem, naucza: „samo umieranie, którego doświadczyłem, jest straszne i ciężkie, ale jasna i radosna jest śmierć jako nowe życie, nowe narodzenie”, czy: „Jakąż wielką miłością od Boga była dla mnie ta choroba”. Jakby czytało się listy skazanego na śmierć św. Ignacego Antiocheńskiego, gdy pisze: „Szukam tego, który za nas umarł; pragnę Tego, który za nas zmartwychwstał”²⁴.

Ale są tu i inne zapiski, w których ojciec Bułgakow dzieli się swoją słabością, zapomnianiem tego, czego doświadczył i nauczył się wcześniej: „Przez te dwa lata, które dzielą mnie od ostatniego zbliżenia się do śmierci, prawie całkowicie utraciłem jej błogosławieństwo i stałem się tępy i pozbawiony uczuć. Tak odwdzięczyłem się Panu za okazane mi jego dary, za jego objawienie o śmierci, którą widzę tak, jakbym nigdy nie umierał, nie poznał jej błogosławionego doświadczenia. Panie, wybacz mi i pomóż. Znowu pochwyciło mnie życie, którego nie odrzucam, i tylko chcę brać w nim udział, ostatnimi siłami życia, jakie mi pozostały...”. Zapiski z tej walki o. Sergiusza przedstawiamy dziś Czytelnikowi.

Ojciec Sergiusz Bułgakow zmarł w Paryżu 13 lipca 1944 roku. Przyczyną zgonu nie był jednak rak gardła, ale udar mózgu, który

23 Najpełniejszy zbiór notatek i listów S. Bułgakowa to monografia *Дневники*, Liwny 1998.

24 Św. Ignacy Antiocheński, *List do Rzymian*, rozdział 4.

miał miejsce kilka dni wcześniej, 6 lipca. Tę „ostatnią walkę” Bułgakow wygrał, o czym przekonuje nas świadectwo kobiet, obecnych przy jego śmierci.

W chwili śmierci, jak zanotowała matka Teodozja, obecna przez te wszystkie dni przy umierającym: „Twarz ojca Sergiusza zaczęła jaśnieć i zajaśniała taką niezmierną światłością, że zamarliśmy, nie dowierając temu, co dane nam było zobaczyć”²⁵.

Paweł Grabowski

.....

[Karta 1]²⁶

* *
*

6/III. 1939.

Bądź wola Twoja!²⁷

Dziś w moją twarz zajrzała śmierć – od guza nowotworowego strun głosowych, więc albo operacja, również zagrażająca śmiercią, albo nieunikniona utrata głosu. Pokornie i z uległością, a nawet ze spokojem przyjmuję wolę Bożą. Nie mam śmiałości, aby powiedzieć: „Tak ziści się moje pragnienie spotkania z Chrystusem”, ale też radośnie spotykam życie poza grobem. Jedyne rozłąka z ukochanymi i ich los skłaniają moje serce ku zatroskaniu, ale wierzę Panu, władającemu życiem i śmiercią, że On ich nie pozostawi. Staram się zastanowić, jak i z kim trzeba się pogodzić, kogo pocieszyć i utulić, co zrobić... Staram się pamiętać o wszystkich i o nikim nie zapomnieć. Niech pośle Pan swojego świetlistego Anioła. Kiedyś umierałem duchowo w dniach

25 Matka Teodozja, *Światłość i śmierć (Świadectwo o ostatnich dniach o. Sergiusza Bułgakowa)*, przeł. H. Paprocki, „Novum” 1979, nr 20, z. 11, s. 179.

26 W katalogu Instytutu Teologicznego Świętego Sergiusza maszynopis ten skatalogowano jako: *Коробка III. Машинописные и печатные тексты, 17, разное.*

27 Mt 6,10 (uwaga tłumacza).

swoich święceń, a teraz, umierając cieleśnie, chciałbym z wszystkimi pojednać się i wszystkich umiłować. I, oczywiście, serce moje ustaje z miłości i od świadomości wszystkich moich niezliczonych win wobec mego świetlistego anioła, Neliczki²⁸, i dzieci moich²⁹.

Chwała Bogu za wszystko!

[Karta 2]

II. III. 1940.

Minął rok od nawiedzenia Bożego. Z woli Bożej zostałem przy życiu, choć okaleczony, niemy, słabosilny... Widzę w tym, co przeszedłem, największą miłość Bożą, bogactwo, skarb duchowy, dane mi w doświadczeniach choroby i bliskości śmierci. Z drzeniem wspominam, jak o jakimś nieziemskim błogosławieństwie, o tych cierpieniach, ich objawieniu, o łaskach Bożych mnie posyłanych, o cudach w których żyłem i żyję, ich niegodny. Ale jedno mnie napawa niepokojem i dręczy: jak mam to bogactwo ocalić i pomnożyć, bo przecież nie można go ocalić, nie pomnażając? Jak mam uchronić łaskę tego kończącego się życia, w którym pozostawałoby otwarte okno na wieczność, tchnęłoby i objawiało się błogosławieństwo śmierci i jej objawienie, razem z miłością do życia i radością życia, która mnie nie opuszcza? Jak unieść żywą pamięć o tym, co było, jako o dziejącym się teraz? Jak ustrzec siebie samego od tego, co doczesne, od zapominania o tym, co najcenniejsze i najważniejsze w życiu, to znaczy – o błogosławionym obliczu śmierci? Jeśli jest mi sądzone jeszcze długo żyć, to czy nie stanę się, tak jak już się dzieje, ofiarą zapomnienia, pochłonięcia przez czas? Ależ nie, precz z tym małodusznyim pytaniem, świadczącym o małej wierze. Czyż mało ci było cudownych znaków

28 Mowa o żonie, Jelenie Iwanownej Tokmakowej (1868–1945) (uwaga tłumacza). Por.: S. M. Połowinkin, *Семя свящ. Сергия Булгакова*, [w:] С. Н. Булгаков, *Религиозно-философский путь*, Moskwa 2003, s. 9-28 (uwaga tłumacza).

29 Ojciec Sergiusz Bułgakow miał czworo dzieci: Marię (1898–1969), Fiodora (1902–1991), Iwana (1905–1909) i Sergiusza (1911–2005) (uwaga tłumacza).

miłości Bożej, Bożej pamięci? I po co, za jaką miskę soczewicy, chcesz sprzedać swój skarb i to, co ci jeszcze zostało, jakie przynęty może dać ci jeszcze życie? Panie, pomóż unieść mi do końca to, co mi wtedy objawiłeś. Bądź wola Twoja! Nie szukać swojej drogi, ale całkowicie oddać się Tobie...

[Karta 3]

I/14 Stycznia 1941 r.

Pan kazał mi jeszcze żyć, już niemal dwa lata minęły od tego czasu, kiedy zostałem wezwany przed oblicze śmierci, zobaczyłem jej twarz i z drżeniem się przed nim skłoniłem. Wtedy wydawało się, że czas jest krótki, i przeznaczony mi czas życia szybko doprowadzi do jego chrześcijańskiego zakończenia. Jednak nie tak się stało. Pan przywrócił mnie do życia i w życie, chociaż półczłowiekiem, półkalką. Takim będąc musiałem oddać się wszelkim troskom i odpowiedzialności w życiu za bliskich, i za swoją pracę, w tych wszystkich strasznych, fatalnych dniach wojny światowej i wszystkich związanych z nią wstrząsach, a wszystko to z dnia na dzień wiązało mnie i wiąże coraz bardziej z doczesnością. Niebo, które otwierało się przede mną w dniach umierania, teraz zamknęło się, jest chronione jedynie w pamięci jak święte, świetliste wspomnienie, ale nie jak żywa, dla mnie żyjąca rzeczywistość. To prawda, pozostałem jakby w półżyciu, uniósłszy się nad ziemią, choć nie odrywając się od niej. Trudno byłoby mi rozgraniczyć w tym półoderwaniu, jaki w tym udział zewnętrznego paraliżu historii, związanego z wojną i moim półinwalidzkim stanem, cieleśnie osłabionym, choć jeszcze zdolnym do pracy – ostatkiem sił – a jaki udział w tym tego rzeczywistego oderwania się od życia ziemskiego, które we mnie nastąpiło. Tylko barwy wszystkie wyblakły i kolory zmętniały. To moja grzeszna słabość i ociężałość, ale równocześnie i nie do pokonania, ludzka niemoc. Kłopoty mnie obstały i nie odstępują, jestem słabosilny, aby przetrwać je wiarą i ufnością, chociaż Pan w miłosierdziu swoim dał mi odprawiać liturgię i nawet paść małą i drogą mi owczarnię. Ufam, że

[Karta 4]

zostanie we mnie, do końca moich dni ta jakaś wolność od świata, która staje się śmiertelnym od niego oderwaniem, życie śmiercią i nawet poza śmiercią, choćby w niewielkim tylko stopniu. To moja radość i błogosławieństwo. W tym sensie moje życie jest wewnętrzne i prawdziwie jest dożywaniem. Jestem wolny (albo tak tylko mi się wydaje) od śmierci, która jest zwrócona do mnie światłością i radością świata po tamtej stronie. Nie jestem godzien tej radości, wszak żyję, jak żyłem, w grzechach, moja modlitwa jest pusta i zimna, rozmyślania o Bogu puste, serce zimne. W myśli przyjmuję zagniewanie Boże na moje życie, o którym nawet niewiele ze skruczą wspominałem, pełen jestem bojaźni Bożej. A jednak śmierć mi nie straszna. Miłość zwycięża strach. Nie jest strasznie, ale radośnie.

W moim „dożywaniu” nie mam już nowych nierozwiązanych zadań i dzieł niedokończonych – na to nie znajduję już w sobie sił i porywu życiowego – są jeszcze tylko „pozostałe” lata życia, jakieś wyciągnięcie wniosków, dokańczanie tego, co już zrobione. Dla rzeczy nowych nie mam już ostrości myśli, pamięć osłabła, tylko sam siebie powtarzam. Jednak zawsze coś tam dorabiam, albo zwyczajnie robię w miarę możliwości, nie twórczo, ale wydaje mi się, rzeczy komuś tam potrzebne albo pożyteczne (na przykład kazania). Ale to, co jeszcze pozostaje ważnym i odpowiedzialnym i dla „pozostałych lat życia”, nawet właśnie w nich i dla nich, jeśli już Pan przeznaczył mi życie dożywać – to ocalić i twórczo potwierdzić te oświecenia i natchnienia, którym poświęcone było moje życie, bez bojaźni i śmiało wyznawać je przed obliczem śmierci, w śmieci samej, wszystko to zanieść na sąd Boży razem z samym sobą. Oto praca, która mi jeszcze w życiu została, w „jeszcze pozostałym” czasie życia. Czuję

[Karta 5]

swój dług i wezwanie aby wyznać swoją wiarę i przekazać jej świętość w inne ręce.

Jednakże tak sędzę, znajdując się jeszcze w planie życia, a siła ubywa i coraz częściej przychodzi myśl o zbliżającej się śmierci. I w rzeczy samej, mnie samego przywiązuje do życia tylko troska o rodzinę, los Neli, jeśli pisane jej mnie przeżyć, a nie odwrotnie, i niestabilizowanie Sierioży³⁰. Ale niech będzie Jego święta wola.

Sam, wewnątrz, jakby „nie interesuję się” czasem końca i nie pytam o ten czas. Nie znaczy to, oczywiście, że czuje się do niego gotowym i dojrzałym, wręcz przeciwnie: niedojrzałym i niegotowym, jak zawsze, ale pogodzonym, by przyjąć kres życia, kiedy Pan pośle anioła śmierci, kiedy tylko będzie na to Jego święta wola. O siebie nie pytam. Ale dlatego pokornie przyjmę, że i ten rok może być ostatnim, tak, że przyszłego, „nowego roku” już nie będzie... A, być może, będzie, nawet niejedyn i Pan zechce doświadczyć moją wiarę cierpieniem. Wszak sroga jest śmierć grzesznika. Ale i tu mniemam w zaufaniu swoim: samo umieranie, którego doświadczyłem, jest straszne i ciężkie, ale świetlista i radosna jest śmierć jako nowe życie, nowe narodzenie...

Chwała Bogu za wszystko i we wszystkim.

[Karta 6]

7/20 III. 1941 r.

Dziś upłynęły dwa lata od dnia mojej pierwszej operacji. Jakie błogosławione i pełne wdzięczności wspomnienia o wszystkim, co ze mną wtedy było, o tych wszystkich, którzy przy mnie byli, zaczynając od najbliższych, ileż ja widziałem miłości. I ten lekarz-artysta, ujmujący rzeczową prostotą i opanowaniem. Jakąż wielką miłością Bożą była dla mnie ta choroba, choć ja, w całym swoim draństwie nie byłem jej godzien. Jakżeby wyglądało moje życie bez niej, bez tego

30 Mowa o synu Sergiuszu (1911–2006), ekspercie w dziedzinie produkcji żywności (uwaga tłumacza).

doświadczenia umierania, bez tego kalectwa, w samozadowoleniu, w tej miłości własnej i w tchórzliwym gaśnięciu. W myślach kontynuuję tę linię życia, która już wtedy została określona i widzę w niej nieświadomie narastający strach przed śmiercią, przedłużająca się pozę, ogólnie mówiąc niezgodne z wolą Boga gaśnięcie. Ale Pan wyciągnął swoją miłosierną rękę i poraził... i to uderzenie wniosło zbawczą przerwę w życiu i uwolnienie ze szklanej klatki lustrzanej. Poznałem śmierć, oderwałem się od drogi życia i żyję – dożywam – między życiem a śmiercią, oddychając już nietutejszym powietrzem. Ale lękam się: im dalej, tym bardziej niegodzien jestem danego mi daru, docześniej, zapominam niezapomniane, dopóki nie spadnie nowe uderzenie Bożego gniewu. Ale zobaczyłem kochająca i miłująca rękę Boga i już się nie boję, ale oddaję siebie, zawierzam miłosiernej, błogosławiącej prawicy Pana. Chwała Tobie, Boże, chwała Tobie!

[Karta 7]

24. V.1941 r.

6. VI.

Zbliża się 23 rocznica moich święceń, święty dzień najważniejszego wydarzenia w życiu... Z nieskończoną wdzięcznością wobec Pana, z nieustannym drżeniem duszy przeżywam to zbliżenie: „jako anioł Pana jestem”... Wydaje się, że wszystko, co zewnętrzne, czym mogła chętnie rozkoszować się dusza w kapłaństwie: możliwość pozy, głos, słowo, wszystko zostało odjęte oprócz najważniejszego: możliwości w ubóstwie poświęcania Świętych Darów, i wtedy jestem pobłogosławiony, i to nie mniej, a więcej, niż byłem błogosławiony w rozkwicie mego kapłaństwa. Stanie przed ołtarzem Pańskim nie zostało mi zabrane, chociaż był czas, kiedy się wydawało, że już zostało odebrane i poznałem to doświadczenie. Być może, jeszcze tego doświadczę, nie tylko z powodu choroby, jeśli taka będzie wola Pana, ale też z ludzkiej decyzji, przez zakaz, o zagrożeniu którym nigdy nie zapominam. Ale nie lękam się: Pan daje, On też zabiera, jeśli tak

mu się podoba. Przypominam sobie, jakim młodzieńcem czułem się w dniach moich święceń, w 47 roku życia po przeżytych głodzie i chorobie. Ale i teraz, kaleki, w 70 roku życia, czuję się młody duchem, choćby i w umieraniu, które jakby organicznie wchodzi w moje życie. I to właśnie daje mojemu życiu świetlistą, zachodzącą radość... Chwała Tobie.

[Karta 8]

9/22. VII. 1941 r. Paris.

Zbliża się dzień moich 70 urodzin. W 70 roku życia zmarł nagle mój ojciec, być może będzie to rok mojej własnej śmierci. Myślę o tym ze spokojem i przyjmę wolę Bożą, jeśli taka ona będzie. Ach! Przez te dwa lata, które dzielą mnie od ostatniego zbliżenia się do śmierci, prawie całkowicie utraciłem jej błogosławieństwo i stałem się tępym, i pozbawionym uczuć. Tak odwdziczyłem się Panu za okazane mi Jego dary, za Jego objawienie o śmierci, którą spotkałem tak, jakbym nigdy nie umierał, nie poznał jej błogosławionego doświadczenia. Pannie, wybacz mi i pomóż. Znowu pochwyciło mnie życie, którego nie odrzucam i tylko chcę brać w nim udział, ostatnimi siłami życia, jakie mi pozostały – nie przeczy temu dar błogosławionego poznania śmierci. Nie tylko oddaję się życiu, ale i pogrążam się w nim, zaplątuję się w nim ostatnimi resztkami możliwości tu temu. Wciąż pozostanie we mnie natchnienie życia, ale prawie utraciłem natchnienie śmierci, choć ciałem w połowie już do niej należę. Kiedy myślę o śmierci – a ja jednak nigdy nie przestaję o niej myśleć, powstaje we mnie trwoga i troska o bliskich, których zostawiam, których los związany jest ze mną i pozostaje nieustabilizowany, ciemny i straszny, jak grzesznie czasami rozmyślałem o tym losie, ja, małej wiary. Do tej pory potrafiłem tylko zapominać o nich, sam zapominając się w życiu, albo obawiać się o nich, zamiast tego, żeby w modlitwie oddawać ich Panu. Ale tak wiele wielkiego i strasznego wybuchło teraz w życiu że tonie

w nim i moje własne życie, i osobiste losy moich bliskich, i drogich. To wojna światowa, początkowo na Zachodzie, a teraz na Wschodzie, w której ważą się losy mojej

[Karta 9]

ojczyzny, krwawy miecz wznosi się nad głową Matki. I wobec tego nieszczęścia i niebezpieczeństwa czuję się – prawie całkowicie – tylko jej synem, zapominając albo odwracając się albo zamykając się przed złoczyńcami, którzy zagarnęli władzę nad nią. Wszystko jedno, mogę jej tylko życzyć ratunku, zwycięstwa, żyć jej losami, boleć nad jej boleściami, cieszyć się jej męstwem. A dalej przychodzi to, co osobiste: syn³¹ w bombardowanej przez wroga Moskwie, przyjaciele i krewni, rodacy. A przede wszystkim – Matka Rosja. Czuję swoją nieprzydatność dla niej i swoją bezsilność, będąc półtrupem, do czego jestem jej potrzebny, nawet głosu mi brak? Ale kocham ją, przynależę do niej, oddaję się jej, modlę się za nią i czyż nie jest to nieprawdziwe, nierealne? O nie! Wiem, że i ja to Rosja, i ona jest we mnie, i takim być, i tak żyć chcę. I chociaż nie próbuję wróżyć, czy zobaczę jeszcze swoją ojczyznę – o tym nie odważam się nawet marzyć i modlić się nie śmiem, ale całym swoim jestestwem wiem, że teraz przychodzi jej godzina. I to wielkie wyobrażenie, ten cień staje teraz między mną i wiecznością, to mnie jeszcze tu przytrzymuje, po tej stronie śmierci. Do tej pory nie należałem tak do życia i tak się mu nie oddawałem, jak w tych zesłanych teraz przez los fatalnych dniach. Nie przeciwstawiam się woli Bożej i zawsze szykuję się na przyjęcie anioła śmierci, przez nią posłanego, ale myśli moje, serce moje, zwrócone są tam, ku niej, ku mojej ziemskiej Jerozolimie, której nie zapominam i nie chcę zapomnieć nawet odchodząc od niej, nawet umierając.

31 Mowa o synu, Sergiuszu Bułgakowie (1902–1991), który nie wyjechał z Rosji. W 1945 roku zawarł związek małżeński z Natalią Michajłowną Niestierową, córką znanego malarza rosyjskiego (uwaga tłumacza).

Zubożałem duchowo, wiem to i zdaję sobie z tego sprawę dlatego, że po ostatniej mojej śmierci, gdy wydawało się, tak uroczyście i radośnie, i prawie życie się skończyło, zacząłem żyć nowym życiem. Znowu nastąpiła – nie wiem już, który raz tak się ze mną stało – nowa świeżość

[Karta 10]

życia, nowa młodość, która przynosi swoje natchnienie, ale odsuwa gdzieś na bok od prostej i szerokiej drogi do śmierci, która prowadzi i doprowadzi do nieuniknionego końca. Ale ja nie mogę już zaprzeczać życiu, chociaż sam wiem, że nie dane mi już żyć tym nowym życiem. Dosłownie wpadłem w nowy wicher życia, w jego wir i otchłań, jego tragedię. Ale w tym właśnie zamyka się dla mnie teraz jego nieodparte przyciąganie i wyższe znaczenie: znowu przerwana została mieszczańska komedia na Zachodzie i bezduszne panowanie zła na Wschodzie, w ojczyźnie, na niebie pojawiły się wojska niebieskie ze swoimi sztandarami³². Życie stało się pełne i religijne, Bóg zbliżył się do ziemi w tych okropieństwach wojny, wypełniających jednak także je wielkością. Jestem pełen – chociaż w moim starczym oddaleniu – upojenia walką, duchowego zachwytu wobec tego, że Pan wspomniął na lud swój, a szczególnie na moją ojczyznę. I dlatego w mojej duszy muzyka śmierci – mojej razem z miriadami śmierci z powodu wojny – zlewa się w tajemniczą symfonię Apokalipsy życia, pieśń tryumfującej miłości, zwyciężającego Boga i Jego sądu. Jemu oddaję swoją nicość i swoją niegodność, razem z ojczyzną, razem ze światem. Nie chcę mieć swojego własnego losu i rozmyślać o nim i zajmować się nim, chociaż będę osądzony własnym sądem i za swoje własne życie. Ale powstań Boże, sądzź ziemię, bowiem Ty królujesz na wieki³³. Amen.

32 Niemcy zaatakowały Związek Sowiecki w II niedzielę po Pięćdziesiątnicy, w święto Wszystkich Świętych Rosyjskich.

33 Por. Ps 81,8 (uwaga tłumacza).

[Karta 11]

15/28 VII 1941.

Bądź wola Twoja! Jutro zakończy się siedemdziesięciolecie mojego grzesznego życia. Być może, ono otwiera też wrota mojej śmierci. Nie chce się nawet myśleć o sobie, kiedy świat płonie, kiedy ginie ojczyzna. O nich chce się myśleć i za nich modlić. Ale niech będzie chwała i dziękczynienie Panu, Dawcy życia, w każdym czasie, teraz i zawsze, i na wieki wieków!

[Karta 12]

14/27 IV 1942 r.

Bądź wola Twoja!

I jeszcze jeden, już trzeci rok minął od tego czasu, kiedy zbliżyła się do mnie śmierć. I teraz, przez te trzy lata stała się ona rzeczywiście bliższa niż wtedy ale ja za to oddaliłem się od niej, stałem się gorszy i bardziej ziemski. Ubożeje dusza i gubi się bliskość tamtego świata, która się wtedy otwierała. Nie wystąpiło u mnie takie przywiązanie do tego życia, które rodziłoby obawę przed śmiercią lub jej nieprzyjmowanie. A ja – tak jak dawniej, nie to, żebym był gotów, albo, że się jej nie boję (to, chwała Bogu zostało po dawnemu) i nie ma we mnie małoduszego pragnienia śmierci ze strachu przed okropnościami życia czy ze zmęczenia nim – ja życie kocham po dawnemu i umacniam się w nim, ale „dożywanie” przyjmuje coraz ostrzejsze i nierzadko doskwierające formy. Straciłem siłę i natchnienie twórcze (oprócz krótkich okresów czy nawet momentów), a bez tego życie jest puste i ciężkie. Ale i w tym bez wahania oddaję siebie woli Bożej. Najcięższe i najtrudniejsze dla mnie w moim życiu, tak samo jak przed obliczem śmierci, są moje grzechy wobec moich najbliższych, wobec rodziny, której nie potrafiłem duchowo i na inne sposoby urządzić,

co znaczy, że było we mnie za mało natchnionej miłości. I wobec każdego członka swojej rodziny ponoszę osobną, niezaprzeczalną winę. Najbardziej wobec mojej żony, której nie dałem radości i spokoju, przeciwnie, szarpałem ją swoimi wymaganiami, choć niczego tutaj nie mogłem i nie mogę zmienić, wina tragiczna, a także i wobec innych dzieci, wobec każdego inaczej.

Ale chcę i to wypowiadam jako swój testament, ażeby pochowano mnie w jednej wspólnej mogile razem z żoną, jeśli tylko będzie to możliwe.

[Karta 13]

14/27-VII -1942.

Zbliża się już 71 rocznica mojego życia, przeżyłem już swojego ojca (70 lat)³⁴. Kończę życie w tak strasznym czasie dla losów świata, ojczyzny i otaczających mnie bliskich, i tylko bezuczuciowość oraz niemoc choroby stawiają mnie w jakimś rozmazaniu, za mgłą. Nastąpiła i nadal następuje ta sama apokalipsa, o której tyle się mówiło i pisało, ale jak trudno żyć nią z pełną duszą, odpowiedzialnie, silno i zwycięsko przed obliczem wszystkiego, wszystkiego... A wszystko to tak: katastrofa Rosji, katastrofa, która jak, a przede wszystkim kiedy zakończy się, katastrofa Europy, a dalej – całego świata, i na koniec jeszcze – Ach! – jeszcze katastrofa Żydostwa, dokładnie w nim Żydów – to w każdym wypadku ogólnoeuropejski pogrom Żydów, urządzony przez Attylę. Cała historyczna epoka, cała wojna światowa stała pod tym znakiem – z Żydami i o Żydostwie. Ta wojna nikogo nie pozostawia obojętnym, ale każdego dotyka, wstrząsa nim, ogólnoludsko, osobiście, apokaliptycznie. A przy tym pozostaje to samo tło życia osobistego z jego niezorganizowaniem, z wieczną obawą o rodzinę, o Sieriożę i jego przyszłość, jeśli jest teraz jakakolwiek przyszłość dla

34 Mowa o ojcu, Nikołaju Wasilewiczu Bułgakowie (1841–1912) (uwaga tłumacza).

kogokolwiek z nas... Wszystko ciemne i niewiadome, wszystko wymaga wiary i oddania woli Bożej przy Jego zewnętrznym milczeniu, zmierzch ducha... i oto ciemności te są najbardziej grzeszne i smutne wtedy, kiedy sam smutek jest grzechem, dlatego, że od nas wymaga się tragicznej radości i religijnego *amor fati* (tak, jak widzę to we wstrząsającym obrazie przed sobą).

Przygotowuję do wydania swoją ostatnią księgę apokaliptyczną, cała ona jest o radości apokaliptycznej, o Przyszłości, ale gdzie ona, gdzie ona we mnie samym, ta przyszłość? Czy stać mnie na to, aby duchem w niej uczestniczyć, uczynić to nie słowem, ale czynem?

Tylko jedno mogę wyznać: tego i tylko tego chcę, żywej wiary w ojczyznę, w przyszłość, widzenia i poznania Miasta Bożego, zstępującego na ziemię. Przyjdź, Panie Jezu!³⁵ Ponadto, co ważniejsze i bardziej potrzebne, niczego nie ma i nie może być. I jeśli wygodnie było wprowadzić mnie w tę godzinę historii i w to zadanie, chociaż nie jestem go godzien i niegodnie go niosę, to w pokorze i z dziękczynieniem

[Karta 14]

Panu przyjmę to zadanie. Dla mnie jakby nie istniała nie tylko trwożna myśl, ale nawet jakby zainteresowanie tym, ile dane mi jeszcze żyć i czy ten rok nie będzie już ostatnim (to może mnie po ludzku trwożyć wyłącznie w odniesieniu do rodziny i jej zabezpieczenia). Aby tylko dożyć godnie z wiarą i zwycięskim prowadzeniem przed obliczem zewnętrznie wszystko zwyciężającego kłamstwa i nikczemności, niosąc w rękach, razem z innymi, Ewangelię Przyszłości. O, przyjdź, Panie Jezu!³⁶ Amen.

³⁵ Ap 22,20 (uwaga tłumacza).

³⁶ Ap 22,20 (uwaga tłumacza).

15/28 XII. 1942.

U łoża mojej żony.
(Tajemnica umierania, na proggu tajemnicy śmierci).

Siedzę u łoża drogiej towarzyszkii mojego życia w ciągu 45 lat. W tych dniach i godzinach we wspomnieniach przechodzą różne okresy i wydarzenia z naszego długiego życia, jego radości i smutki, wielkie doświadczenia, których pełne było nasze życie, przy zewnętrznej pomyślności. Od początku i bez przerwy jej choroby i operacje, nieustanne choroby dzieci, śmierć chłopczyka³⁷, centralne wydarzenie w naszym życiu, później wygnanie, rozłąka ze starszym synem, wielka ilość wszelkiego bólu i zewnętrzne i wewnętrzne tarcia, które nie zburzyły naszej wierności w tym, co Bóg złączył, a człowiek ma nie rozłączać³⁸. Na świadectwo czego, przed Bogiem i miłością, chcę leżeć razem z nią w jednej wspólnej mogile, jeśli tak się Bogu spodoba (choć po śmierci Iwaszczki ja już nie śmiem o tym myśleć z przekonaniem, jak myślałem o tym wtedy, kiedy chciałem położyć się koło jego świętej mogiłki, a zostałem rzucony w daleki kraj).

Ale wszystko to jest ludzkie, biografia. A tu otacza mnie atmosfera umierania, przybliżenia tamtego świata, otwarcie jego okien, zza których czasami wdzierają się snopy światła i słycać glosy.

Jak trudne i najwyraźniej przeciwne istnieniu jest umieranie, odcieleśnienie, oderwanie od ciała, poprzez które ten ziemski świat mocno przytrzymuje nas przy sobie w ziemskim życiu, radościach i cierpieniach. Śmierć bywa rozmaita. Umieranie powolne i trudne, jeśli nawet nie towarzyszą mu cierpienia spowodowane chorobą, oprócz ogólnej zgryzoty, i unicestwienia ciała, tracącego władzę nad sobą i kontrolę ducha. Ale przede wszystkim jasno poznaję, że tutaj my widzimy tylko

³⁷ Porównaj przypis 6.

³⁸ Mk 10,9 (uwaga tłumacza).

[Karta 16]

cielesną jego stronę, ale nie widzimy tego, co w niej i nad nią się dokonuje. Duch już oddzieliła się od ciała, zaczyna wchodzić tam, w inny świat. Tam oczekuje go spotkanie: bliskich, kochanych, (Iwaszczki, matki³⁹ i innych), tam – czuję to – zaczyna ona widzieć i słyszeć świetlistych aniołów, anioła stróża, o modlitwy którego dusza szczególnie prosi. Jej czyste serce nie boi się demonów. A jednak nagle oddzielne, niepowiązane bełkotliwe urywki mowy, w których nie może wyrazić siebie bezsilna myśl i dlatego wydają się one bełkotem, świadczą o tajemniczej rozmowie, o nowym urodzeniu, którego doświadcza odcieleśniona dusza. Wchodzi ona po drabinie bytu, przechodząc różne stopnie. Jest to dla nas niedostępne, chociaż czeka to każdego z nas. Jakże trudne są te dni i jednocześnie nieskończenie ważne i potrzebne. Pod tą maską umierania dokonuje się nasza inna wspólnota miłości i nawet ważniejsza niż tutaj na ziemi. Oto co znaczą słowa „chrześcijańskie zakończenie życia... bez zawstydenia i spokoju”...⁴⁰.

[Karta 17]

U progu nowego roku 1943.

21/XII 1942

13/I 1943

Pan znów objawił swoją miłość i odsunął anioła śmierci od łóża Neli, pozostała przy życiu. Nie wiem, czy na długo. Czy my ludzie możemy [*nieczytelne*] wolę Bożą, ale cud się dokonał. Nastąpił dobro-

39 Matką ojca Sergiusza Bułgakowa była Aleksandra Kosminiszna Bułgakowa, z domu Azbukina (?–1906) (uwaga tłumacza).

40 Wezwanie z ektenii w liturgii prawosławnej (uwaga tłumacza).

czynny przełom w jej chorobie i oto ona jest z nami w święta Bożego Narodzenia, i na progu nowego roku. Duszę moją napełnia dziękczynienie Panu.

Sam jednak odczuwam wyczerpanie w obliczu nowych czasów i terminów, w których dokona się, być może, powrót ku nowej epoce rosyjskiej historii, a jednocześnie i całego świata. Wydaje się, że dla mnie następuje ten czas w życiu, o którym powiedziano „kiedy się zestarzejesz, inny ciebie przepasze i powie, gdzie nie zechcesz”⁴¹. A ja nie umiem żyć bez pracy, bez tworzenia i natchnienia. I po dawnemu chcę tworzyć i – nie mogę. Ale niech dzieje się ze mną wola Boża. Niech urządzi Pan życie moich bliskich po mnie, jeśli będzie chciał mnie powołać do siebie.....

[Karta 18]

Dzień Świętej Trójcy.

31/V

13/VI 1943.

Dziś mija 25 lat od moich święceń diakonatu, a jutro, w dniu Św. Ducha, święceń kapłańskich. Jest to dzień największej Bożej łaski, okazanej mi na ziemi. Sławię i dziękuję Bogu mojemu. Jak wiele przeżyłem i dowiedziałem się w tym czasie. Czuję siebie przed obliczem zbliżającej się śmierci i przyjmę ją jak wolę Bożą dla mnie. Od czasu mojej choroby i operacji już 4 lata żyję w kapłaństwie swoim, choć w ograniczonym zakresie, jak i w całym moim umysłowym i duchowym życiu. Dożywam ostatnich sił, ale wszystkie oddaję na służbę Panu mojemu. Jemu chwała, cześć i panowanie na wieki wieków. Amen.

41 J 21,18 (uwaga tłumacza).

Jak zmieniło się całe moje życie w tym ćwierćwieczu. Święcenia w Moskwie, całe życie kapłańskie poza Moskwą, na początku na Krymie, a potem na wygnaniu, do którego odnosi się okres najważniejszej pracy i działalności. A teraz znów historia stawia przed obliczem ojczyzny... Nie mam jednak sił, aby tam wrócić i najwidoczniej nie jestem godzien... Ale oddaję siebie woli Bożej, żadnych pragnień swoich już nie mam. Amen.

3/16.VI. 1943. Dzień Świętego Ducha, dwudziestopięciolecie moich święceń, przeszedł cudownie i pięknie ale razem z objawieniami sądu Bożego nade mną, o których tylko ja wiedziałem. Otoczony byłem miłością niezasłużoną. Świętowaliśmy w cerkwi i w akademii. Wręczono mi dyplom doktora *honoris causa* nauk cerkiewnych. Jest to dla mnie cenne z powodu samej akademii, ponieważ był to wyraz nie tylko uznania dla całego dzieła mojego życia, ale i wolności

[Karta 19]

myśli prawosławnej, prześladowanej i nieuznawanej. Był to symbol o wielkim znaczeniu, chociaż ja wiem, że jeśli Bogu spodoba się przedłużyć moje życie, to na tej drodze czekają mnie doświadczenia... Osobistą radość i pocieszenie przyniósł mi list metropolity Eulogiusza⁴², w którym mówi on o trudach mojej pasterskiej posługi. Dźwięczą w tym jego własne żale z przeszłości i jednocześnie pewne poznanie i przewyciężenie. Osobiście odchodzimy z życia pogodzeni i jestem szczęśliwy, że tak się stało. Osobiście nasz metropolita jest w swoim rodzaju wyjątkowy. Ale to oczywiście nie zmienia całego tego fatal-

42 Metropolita Eulogiusz (Wasyl Siemionowicz Georgijewski, 1868–1946), egzarcha patriarchy ekumenicznego dla parafii rosyjskich w Europie Zachodniej (uwaga tłumacza).

nego znaczenia, które dla życia Cerkwi ma cała ta hiperbola episkopatu, którą poznałem przez doświadczenie mojego własnego życia⁴³.

Przetłumaczyli Paweł Grabowski i Ewa Józefowska

43 Mowa o problemach ojca Sergiusza Bułgakowa z władzami kościelnymi z powodu jego teologii (uwaga tłumacza).